

Hej ty ojcze atamanie

Autor tekstu: **Witold Stanisław Michałowski**

Bieszczady, to była taka XX-wieczna odmiana ussuryjskiej tajgi i Dzikich Pól, kraina zarosłych burzanem pogorzeliisk, podmokłych zarośli, gdzie kluczyło się po ścieżkach leśnego zwierza, wśród głuchych ostępów i rozsypujących się w proch zmarzłych od mrozu buków, szukając samotności, przygody, możliwości bezpośredniego obcowania z naturą i sprawdzenia samego siebie. Nie góry, nie step i nie tajga, a bieszczady. Pisane małą literą. To było to, co należało naprawdę chronić, ocalić dla przyszłych pokoleń. Zajmowały promile powierzchni naszego kraju. Kiepskiej, nieurodzajnej ziemi, borów z małowartościowym drzewostanem. Bez zabytków, folkloru i zagospodarowania turystycznego. Nieporównane, fascynujące, unikalne. Jesienią wszechwładne panowanie na drogach łączących ludzkie siedziby obejmował chłupoczący żywioł — błoto. W tłustej, ciężkiej, brunatnej mazi grzęzły po osie pojazdy, łamały nogi zwierzęta. Człowiek też nie mógł dać jej rady. Chyba że wezwał na pomoc biesa. Bies rządził tą krainą. Przenikał do ludzkich dusz, kusił do złego: rozboju, mordy, rabunku. Kupcy z naddunajskich nizin, wędrujący na północ z baryłkami wina, bezlitośnie łupieni przez opryszków, polecali duszę Panu Bogu, gdy przyszło im przekradać się przez ponure knieje krainy biesów — Bieszczady. Do dziś nazwę tę nosi położony na zboczach Kanasiówki las. Karpaty pokrywała wówczas nieprzebyta puszcza. Sięgała aż po Dunaj. Dalej rozpościerał się ocean stepów, sięgający po Wielki Mur Królestwo nomadów. Chińczycy nazywali ich „barbarzyńcami z północy”, hiung nu — Hunami. Od nich brał rodowód turecki szczep Połowców. Koczownicy roztopili się, w masie podbitych osiadłych ludów słowiańskich. Niedobitki ścigane przez tępiących ich zawzięcie Mongołów szukały ocalenia w leśnych głuszkach. Komańcza leżała na starym szlaku handlowym. Wiódł przez uhorskie wrota Przełęcz Łupkowską. Nazwa Sanu, jest rzekomo pochodzenia celtyckiego. Odnalezione w islandzkich klasztorach stare sagi skandynawskie podają, że walki Gotów z Hunami toczyły się w Czarnym Lesie; w krainie biesów — Bieszczadach...

W latach I Wielkiej Wojny nie tylko Szwejk nie zamierzał kłaść głowy pod kozackie szable, broniąc życia Najjaśniejszego Pana i C.K.Monarchii. Pomiędzy Łupkowem i Komańczą zdezerterował cały 94 Praski Pułk Piechoty, łącznie z orkiestrą i kuchnią polową. Błądząc po Magurycznym i Krasnej, jeszcze ćwierć wieku temu trafiałeś na ślady okopów z lat I wojny światowej, przestrzeloną odłamkiem granatu aluminiową manierkę, ludzki czerep. Gdy cały kraj przystępował do odbudowy zniszczeń ostatniej wojny, tu płonęły wsie, ginęły kobiety, dzieci. Łzy i krzywda ludzka wołały o pomstę do nieba. Świątynie, gdzie czczono brodatych świętych, dzieliły los mieszkańców. Dziś ikony z sanockiego muzeum znane są w całej Europie. Ocalałe z pożogi cerkiewki pieczołowicie odnawia się i konserwuje. Atrakcja turystyczna. Egzotyka. Zarastają szuwarem Duszatyńskie Jeziorka. Nikt chyba już nie wierzy, że to Zły na ognistej kuli uderzył ongiś z głuchym łoskotem w Steciw Las. Stara Haratyna widziała go ponoć. Kiedy się pojawił ziemia drżała i dzwony same dzwoniły. Zerwała się góra, chresty — krzyże odtąd na niej stawiali. Skalne rumowisko z Chryszczatej zatarasowało strumień Olchowaty. Zatopiony został szmat boru. Martwe, sterczące z wody kikuty drzew są pamiątką po kataklizmie sprzed kilkadziesiąt lat: Steciw Las na zboczu Chryszczatej znajdował się na trasie przelotu meteorytu. Ukraińscy emigranci z Kanady ostatnio postawili tam jak się okazało nielegalnie mały pomnik tym co zmarli z ran odniesionych w walce z Ludowym Wojskiem Polskim a leczono ich w ukrytym pod pniami drzew wojennym szpitaliku. Pomnik rozebrano. Błotniste dna jeziorzek nie badał nikt. Może tkwią tam jednak odłamki ciała kosmicznego.

Wschód słońca chodziło się oglądać na Halicz. Szczękając z zimna zębami, skuleni, siedząc w okopach z czasów I wojny światowej, oczekiwanie skracaliśmy nadzieją, że jak tylko się rozjaśni dostrzeżemy światła Lwowa. Pasowanie na rycerza dawała wyprawa do „Worka”, na „grób hrabiny”. Niedaleko od Przełęcz Użockiej, przytulona jednym bokiem do niewielkiego strumyczka, przedziwnym zrządzeniem losu ostała się nagrobna płyta Klementyny z Kalinowskich Strońskiej. Dojść do niej było trudno. Łany pokrzyw, sosnowe młodziaki, wysokie trawy, zarośla pokrzyw i łopianów broniły dostępu. Szło się tam na trzy, cztery dni, wracało po tygodniu albo i dwóch. Po chleb czasem posyłało umyślonych do najbliższej piekarni w Stuposianach, ponad trzydzieści kilometrów w jedną stronę. „Worek”... Zarosły zupełnie młodymi drzewkami, przedwojenny gościniec, krzyżujące się tropy dzikiego zwierza. Bezruch, cisza i spokój zielonego morza. Zbite z grubych bierwion myśliwskie chatki na Mucznej, Wołowcu, nad Neryłowem. Parę bacówek, w których jesienią mieszkalem z ukochaną dziewczyną. Skrzypiący „triangul” na Jeleniowatym, na którym wyznawała miłość. Przy żarzących się paru konarach długo w ciepłą noc można było słuchać tajemniczych szeptów karpackiego boru, szmeru kryształowo czystych strumieni, głosów dzikiego Racionalista.pl

zwierza. Samotność jest wartością rzadką. Coraz radszą i coraz bardziej cenną. W „Worku” mogłeś być sam. Zupełnie sam. Bezwzględna, naturalna selekcja. Ostre kryterium wagi plecaka i umiejętności chodzenia po górach. Bez żadnych punktów dodatkowych. Ci, którzy tam docierali, mogli być śmiało zaliczani w poczet Bractwa Wielkiej Przygody, Wielkiej Wyrpy, Wielkiej Próby. Biegu wydarzeń nic nie zmieni, choć czasem może zebrani w gronie przyjaciół z nostalgią wspominamy, ile trudu kosztowało przejście grzbietu Otrytu, noszenie dwutygodniowego zapasu chleba, czy odnajdywanie tonącego w oceanie łopianów i pokrzyw nikłego śladu ścieżki, prowadzącej przez dawną wieś Wołosate. Pozostały po niej tylko zapadające się coraz głębiej rumowiska cegieł, osmalone, butwiejące belki i resztki przy cerkiewnych cmentarzy a w zdziczałych sadach białe ludzkie kości, pola uprawne zarastał jałowiec, a w watach podhalańskich juhasów wypasających owce płonęły resztki ikonostasów. Zarastają zielskiem, tarniną, szybko puszczającą co rok świeże pędy olchą. Nie żałujemy dawnego Wołosatego, krytych słomą kurnych łemkowskich chyz, ludzkiej nędzy, chorób i zabobonów tak strasznych, że nie sposób uwierzyć, iż istniały Takie Bieszczady przetrwają tylko w legendzie. One właśnie miały być atrakcją dla dewizowych cudzoziemców. Ostatnią w Europie enklawą „pierwotnej, karpackiej puszczy”. Takich Bieszczadów już nie ma i nie będzie, choć dla wielu z nas pozostaną na zawsze krainą pierwszej w życiu i być może ostatniej Wielkiej Przygody, Wielkiej Miłości, Wielkiej Próby. Wspaniałą pamiątką z najpiękniejszych, górnych i chmurnych lat młodości

Biwak opuściliśmy przed świtem. Roztapiali się w wilgotnej mgie jak zjawy. Padało od tygodnia. Niebo przybrało jednolity, ponury, stalowoszary kolor. Parowały porośnięte burzanem zdziczałe pola. Po drugiej stronie doliny Sanu rozległe, rozłożyste barłozęły Otryt.. Stopy grzęzły w rozmięklej, gliniastej brei. Na przełęczy opary mgieł przegoniły bicze ulewy. W dole, tam skąd przyszliśmy, majaczyły rozwaliska cerkwi świętej Paraskiewii. Nieco bliżej resztki drewnianych szop i ogrodzeń. Pozostałości planu filmowego kiczu. Rancho Texas! Namoknięte wory plecaków ciążyły niemiłosiernie. Rzemienne napięte pasy wpijały się w barki, przygniatały do ziemi, tamowały oddech, zapierały dech w piersiach. Pod wieczór dotarli do kosmatego polipa Magury Stuposiańskiej. Wysokopienny bór tłumiał dźwięki. Na rozległej polanie znikły w zielonym kobiercu koleiny dawno nie używanej drogi. Rozrzucone po jej obu stronach kępy pokrzyw, wzrostu człowieka wskazywały miejsca, gdzie kiedyś wznosiły się ludzkie siedziby. Czubkami butów potraçałem resztki żeliwnych garnków, przerdzewiałe obręcze beczek, murszejące poźółkłe kości. Schodziliśmy korytem strumienia, które spuszczone nim pnie drzew zmieniły w rynnę wyslaną lepkiem, tłustym błotem. Do celu dotarliśmy już prawie po ciemku. Smolne szczapy płonącego ogniska rzucały w niebo snopy iskier. Parowała odzież. W osmalonym kociołku bulgotała woda. Rzucona garścią na wrzątek herbata zapachniała niebiańskim aromatem. Noc spędziliśmy w opuszczonym baraku, Parę lat temu był w nim posterunek wojsk pogranicza. Drewniana, piętrowa wieloosobowa nara — prycza pokryta resztką butwiejącej słomy ława przy ścianie, leżący na krzyżakach blat stołu z nieheblowanych desek i okrągły, blaszany piecyk z rurą wystawioną przez okno uzupełniały umeblowanie wnętrza. Prowadziłem kilkunastoosobowy turnus studenckich wczasów wędrownych. Banda śmiertelnie znużonych i mokrych widzideł z trudem upchała się jakoś w pustym pomieszczeniu. Na reszki mysich biesiad i cuchnące puszek po konserwach, walające się po podłodze, nikt uwagi nie zwracał. Tej nocy nie pożałowałem kobiety. Żadnej. Pragnąłem tylko spać. Zapaść w bezruch, letarg Pozostać w nim. Na zawsze. Na wieki. Zapomnieć. Kamienny sen przyszedł prawie natychmiast.

Rozgrzana do czerwoności kuchenna płyta żeliwnego piecyka dająca rozkoszne ciepło jeszcze była gorąca. Dominował słodkawy odór suszonych skarpet. Nikły odbłask naftowej lampy z ledwością oświetlał małą izbę. Wyraźnie ktoś pukał do drzwi. Bardzo cicho. O tej porze? Już prawie północ. Lekki stuk usłyszeli też inni. Podkręciłem knot naftowej lampy. Mieliśmy gościa. Przez ledwo uchylone drzwi wsunęła się ociekająca wodą zjawia i przytulona do jej nóg przemoczona do cna mała, wynędzniała psina. Przybysze proszą aby im odstąpić nieco miejsca na podłodze koło piecyka. Rumor budzi wszystkich. Częstujemy nowoprzybyłych pozostałą na dnie gara resztką przypalonej zupy. Temu czworonożnemu tak bardzo przypadła do smaku, że starannie wylizał również pokrywę. Nikt nie zauważył, kiedy człeczyna, powiesił na klamce zamykając za sobą drzwi przyniesiony węzełek. Ktoś, wychodząc „za potrzebą”, niechcący strącił go na ziemię. Reakcja przybysza była jest gwałtowna i nieoczekiwanie brutalna. Uderzeniem kija odtraćca odtraćcił rękę, która chciała zawiniątko podnieść. Szajbus jakiś czy co? Zapalam latarkę, kierując snop światła na podłogę. Coś się na niej poruszyło. Chyba złudzenie. Właściciel węzełka sam go podnosi. Z grzeczności pytam, co ma tam tak cennego. Odpowiedź wprawia w osłupienie. Żmije. Po prostu żmije. Łapał je na zamówienie jakiegoś instytutu. Pan Mikołaj, bo przy zawieraniu znajomości tak się przedstawił, przyswoił sobie tę umiejętność na w Stepach Minusińskich. Po wkroczeniu bolszewików do Lwowa zesłano tam całą

jego rodzinę. Miał wówczas niespełna dziesięć lat. Przeżył tylko on. Dzięki żmijom. Sprzedawał je koreańskim kołchoźnikom jako „wsad” do wódczanych nalewek. Starczało ledwo na chleb. Widząc niedowierzanie w moich oczach, demonstracyjnie rozwiązuje szmaciany pakunek. Gwałtownie cofam nogi. Chyba zbyt gwałtownie energicznie. Prosi, aby nie wykonywać żadnych nagłych ruchów gwałtownych ruchów, bo w ten sposób można zdenerwuję jego podopieczne. To są naprawdę dobre, czyste i pocziwe stworzenia boże. Już zupełnie obudzone dziewczęta zaczynają nerwowo popiskiwać. Właściciel pełzającej liniowej menażerii jest wyraźnie urażony. Niewyraźnie bełkocąc i śliniąc się przy tym nieco, przekonuje, że żmije nie są groźne. O, proszę!!! Zdecydowanym ruchem podnosi za ogon dorodny, blisko metrowej długości okaz. Głowa gada spoczywa na ziemi i wyraźnie kieruje się ku mnie. Głodny i szuka żeru. Jednocześnie reszta jego towarzyszek i towarzyszy usiłuje dać drapakę we wszystkie możliwe strony. Sytuacja wymyka się z rąk. Jak najbardziej dosłownie. Liczę wijące się ogony. Cztery. Pięć. Nie, chyba sześć... Jeden znika między plecakami. Oczy, nie tylko dziewczyn, robią się coraz bardziej okrągłe. Przybysz zajmuje pozycję strategiczną. Przy jedynych drzwiach. Muszę coś zrobić. Przecież, było nie było, odpowiadam za tych ludzi. Nikt już nie śpi. Wszyscy wleźli na górną pryczę i z napiętą uwagą zajmują się inwentaryzacją miłych zwierzątek. O, jest ich znowu sześć. Nie, pięć. Ktoś deklaruje, że za cholere nigdy nie zejdzie na ziemię i nie założy butów. Ktoś inny na głos rozważa, czy przypadkiem bieszczadzkie żmije nie naśladują swoich afrykańskich koleżanek i nie wpełzają na drzewa. Nogi prycz zrobiono, jak na złość, z solidnych, drewnianych żerdzi... Usiłując panować nad emocjami staram się jak najłagodniej, acz zdecydowanie apelować jak mogę najłagodniej do pana Mikołaja o zebranie z powrotem do węzełka całego towarzystwa. Przecież ktoś przypadkiem może nadepnąć niewinne stworzenie i zrobić mu krzywdę. Uszkodzonego nikt nie kupi. Nadepnąć? Bosą stopą? Buty dawno już wszyscy mieli zdjęte. Suszyły się rozłożone wokół piecyka. Mało prawdopodobne. Argument o obniżonej wartości uszkodzonego towaru okazał się dobrany trafnie. Coś jednak w moim głosie musiało zabrzmieć fałszywie. Gdy w myślach rozkoszuję się chwilą, gdy będę drania razem z jego bagażem wyrzucał na dwór, dociera do mnie propozycja. Niech pan ją weźmie. Jest w okresie godowym. Spragniona miłości. Niech się pan nie boi. Dobry Bóg stworzył dobre zwierzęta. Tylko ludzie uczynili z nich bestie na swoje podobieństwo. Ręka przybysza wraz z owiniętą wokół niej niedużą żmijką spoczęła na moim kolanie. Mimowolnie drgnąłem. Gad podniósł małą, kształtną główkę i wydał z siebie syk. Proszę myśleć o niej przyjaźnie. Ona to będzie czuła. Być może. Strużki potu spływały z moich pleców do miejsca, na którym siedziałem coraz intensywniej. Kilkanaście par oczu, obserwujących wydarzenie, wyrażało tylko jedno uczucie. Masz za swoje. Uczestnicy turnusu nie mogli mi darować tempa marszu, w jakim pokonaliśmy ostatnie kilkanaście kilometrów. Udając kamienny spokój, nie cofam leżącej na kolanie ręki. I nie patrzę w jej kierunku. Czuję natomiast jak wolno przepelza na nią śliska chropowatość. Mam podwinięte rękawy koszuli, a „To” zmierza do cieplejszego miejsca. Słyszę w uszach uderzenia pulsu mego bijącego serca. Gad jest wyraźnie zaniepokojony. Syczy. Mijają długie, cholernie długie minuty. Zawiedziona w miłości daje się w końcu namówić do powrotu na rękę właściciela. Musiała zachować zapach jakiegoś żmijowego przystojniaka. Gdy zawiązany powtórnie węzełek wrócił na kłamkę, nie miałem sumienia wyrzucać na wzmagającą się ulewę nocnego przybysza z resztą jego menażerii. Z biegiem lat zaprzyjaźniliśmy się. Spotykałem go w „worku”, nad Negrylowem, Muczmem, Tarnawie. Tam, gdzie jeszcze w latach powojennych ludzie tępili się nadal. Gdzie siekiery, noże i widły pozbawiały życia często kuzynów i powinowatych, gady znalazły doskonałe warunki egzystencji. Na stokach Halicza, tam gdzie jasną nocą można oglądać poświatę nad Lwowem. ustawiono szubienice. Na nim zbiegały się ongiś granice Polski, Rusi i Węgier. Ich widmo zaciążyło nad tą krainą na cały ubiegły wiek.



Styk trzech granic: Polska, Słowacja, Ukraina. Obelisk na Krzemieńcu. Pierwotne karpackie lasy bukowe. Fot. Sebastian Mierzwa, Wikimedia

Bieszczady tak naprawdę zaczynały się w Komańczy. Międzynarodową sławę tej wsi przyniosło internowanie Prymasa Tysiąclecia w miejscowym klasztorze SS Nazaretanek. Gdy wkrótce po tym wydarzeniu w dalekim Rzymie odbywała się konferencja prasowa, zagraniczni dziennikarze zadawali pytania, w którym miejscu Syberii leży ta Kumancza. Tak im obco i niesłowiańsko brzmiała nazwa. Gdyby wiedzieli, że od pokoleń zamieszkiwały ją rody Czurmów, Pengrynów, Haratynów, mocniej utwierdziliby się w błędnym mniemaniu.

Granica to była wielka świętość. Za czasów PRL-u nie wolno się było nawet do niej zbliżyć. Przebiegała po niezbyt wysokich górskich grzbietach. Wąską, krętą ścieżynką przemycano wzdłuż dawno nie koszonego pasa bujnych traw i jeżyn porastających leśne przecinki. Naruszenie jej uważano za ciężkie przestępstwo. Komendant strażnicy WOP-u do Wetliny przyjechał bezpośrednio po ukończeniu szkoły oficerskiej. Z własnej i nieprzymuszonej woli. Zabiegał nawet o to. Mundur zrzucił dopiero wtedy, gdy jego formację przemianowano na Straż Graniczną. Jak zwykł mawiać, na stróża się nie nadawał. Dowódcą był wzorowym. Podwładni starannie wygoleni, czysti. Regulaminowo umundurowani. Tylko wojskowe buciory mieli zwykle bardzo brudne. W bieszczadzkich górach błoto jest zawsze a podkomendni kapitana słynęli z tego, że można było się na nich było natknąć w najbardziej nieprawdopodobnym miejscu granicznego szlaku od Kremenarosa po Matragonę.

To tu występuje unikalne zjawisko. Kaptaż: Wody polskiego strumienia przeciąga na południową stronę Karpat słowacki Ung. Tamtędy właśnie miała przejść „pieremyczka” gazociągu do Velkich Kapuszan. Niezwykle rzadko występujące hydrologiczne zjawisko ulec miało zagładzie. Kaptaż budowniczym wielkiej rury do niczego nie jest potrzebny. W czasach, gdy integralności terytorialnej kraju noszącego nazwę PRL strzegli chłopcy kapitana, nikt jeszcze o Jamalskim korytarzu nie słyszał. Ale przemyt istniał. Głównie butów. Wibramów i horolezek. Szpanerskich, niebieskawych plecaczków z żółtą obramówką. Przemycano i inne towary. Zakazane wydawnictwa, walutę i piwo. Znakomite. Chłodne, pieniące się, z miodową goryczką goryczą. Knajpa z VYCZAPEM była widoczna granicznego grzbietu. Niespełna godzina drogi w dół. Ścieżka wiała się przez gęsty bukowy las i jakieś zagajniki, a potem blisko zabudowań słowackiej już wsi wypadała na świeżo koszone łąki. Do najbliższego przejścia granicznego wówczas właśnie świeżo otwartego w Barwinku należało jechać wiele godzin samochodem. Mieć z sobą paszport, zaproszenie, wykupione zawczasu korony, poddać się odprawie, wypełnić deklaracje. A VYCZAP był w zasięgu ręki. Gdy nad splekany letnimi nawałnicami połoninami zaczynało grzać słońce, grzało na dobre. Plecaki ciążyły niemiłosiernie. Cięży gzy. Bielwały od soli wydzielanej przez spocone ciała brązowo-brunatne przewodnickie koszule. Gardło wysychało na wiór. Podświadomość zdecydowanie działała na

wyobraźnię. Skutecznie... Nie pomagał widok długich nóg idących przodem dziewcząt. Wspomnienie cierpkiego grzechu, dręczyło ciało, opanowywało umysł i... skręcało się z granicznej ścieżki. Działał kaptaż!!! Wopistom tego robić nie było wolno. Mieli zakaz. Mogli łapać przestępców tylko wtedy, gdy opici piwem jak bąki wracali na polską stronę. I sprowadzać ich z kontrabandą na dół. Do komendanta. Udowodnienie przestępstwa przemytu jest proste, jeśli jest towar. W instrukcji postępowania z podejrzanymi o nielegalne przekroczenie granicy nie figurował zakaz siusiania. Kontrabanda, nie pozostawiając śladu, wsiąkała w leśną ściółkę. Kapitan wiedział o wszystkim. Odgrązał się, że sporządzi protokół, spowoduje odebranie przewodnickich uprawnień, zamknie do aresztu, powiadomi zakład pracy i rektora uczelni i nie pożyczyci chleba, gdy do jedynego sklepiku w Wetlinie akurat nie dowiozą. To było najpoważniejsze ostrzeżenie. Za przyczyną studenta imieniem Bazyl, posiadacza kieszonkowego zegarka z dedykacją dla 44 potomka rabinackiego rodu, nastąpiła zmiana w treści kapitańskich raportów. Prowadziliśmy razem bazę w Berehach. Bazyl, popadł w wyczapowe uzależnienie. Konflikt z kapitanem i jego podkomendnymi narastał. Los zrzucił, że pewnego razu zawitał na naszą bazę Rajd Drogowców i Transportowców. Wiele setek turystycznego ludu. Bulgoczące skrzynki z zaopatrzeniem dowoziły zakładowe nyski. Było gwarnie, rojno i wesoło. Zanim zapłonęły ogniska, tknęło mnie, by sprawdzić, kogo tak naprawdę dopinguje zgrupowana po obu stronach przepływającego w sąsiedztwie namiotów strumienia gromada zdobywców bieszczadzkich gór. Wytrwale młócili kamieniami wodę. Celowali do czegoś. Piżmowca? Żmii? Już miałem zacząć wygłaszać reprimendę, gdy usłyszałem metaliczny brzęk. Towarzyszył mu jęk zawodu. Młodzież chciała się rozerwać. Ustawili w dniu potoku pionowo pocisk haubicy dużego kalibru. Wyciągnęli go z okopu pod Jawornikiem. Cały zardzewiał. Tylko tępo zakończony zapalnik z gniazdami na płaski klucz pokrywała żółtawa maź smaru konserwującego. Rzeczywiście, rozrywkowa sztuka. I to nawet bardzo. Przerwałem zabawę. Skonfiskowałem znalezisko. Umyślny pojechał rowerem, zawiadomić kapitana. Gdy ten przyjechał służbowym ułazem, była już noc. Razem obejrzeliliśmy trofeum. Rajdowcy dobrze celowali. Kamienie zdołały nadwerężyć zapalnik. Każdy gwałtowny wstrząs mógł spowodować wybuch Ryzykownie byłoby w tej sytuacji wieźć pocisk samochodem. Wybuch mógł nastąpić przy gwałtownym wstrząsie. Asfaltu na szosie do Wetliny dawno nie naprawiano. Po zimie wyrwy w jego nawierzchni tworzyły rozległe kraterki. Niewypał przetrzymałby chyba tylko parę podskoków ułaza. Pojazd przydał się jednak. Jego reflektory oświetliły szosę. Kapitan niósł pocisk oburącz. Całe siedem kilometrów. Nie chciał ryzykować pozostawienia rozrywkowej sztuki w przydrożnym rowie. Po odejściu do cywila został w Bieszczadach. Dlaczego posiwiął, opowiadać nie chce.

Gdy ileś tam lat temu z Januszem Rygielskim, późniejszym wieloletnim prezesem Związku Polonii Australijskiej, pisaliśmy „Spór o Bieszczady”, Wydawało się wówczas, że głównym wrogiem przepysznej przyrody tej nieszczęsnej, przesiąkniętej pobratymczą krwią ziemi byli tępi biurokraci, znakomicie funkcjonujący w ramach systemu niezbyt elegancko określanego jako .. dyktatura ciemniaków. Losy pierwszego nakładu książki, prawie całego spalonego na polecenie I wojewódzkiego sekretarza PZPR tow. Kandefera w kotłowni domu wczasowego w Iwoniczu, na to wskazywały. Udało się nam jednak dotrzeć do samego Edwarda Gierka ze skargą na poczynania partyjnego kacyka. Książkę wydano po raz drugi. Wydawać się mogło, że sprawa zachowania dla przyszłych pokoleń tej małej enklawy dzięki przyrodzie w sercu Europy została rozstrzygnięta raz na zawsze. W najczarniejszym scenariuszu nie spodziewaliśmy się, że do władzy dojdzie pokolenie cynicznych koleśków, gotowych wszystko podporządkować doraźnemu, Własnemu. interesowi. Tych ludzi los bieszczadu nie obchodzi. W III Rzeczypospolitej najważniejszy jest „biznes”. Żalony biznes żalony biznesmena. Ograniczmy się do paru przykładów. Do wydarzeń, jakie miały miejsce w dolinie Sanu, na małym odcinku pomiędzy „workiem” a Rajskim. W tym fragmencie Bieszczadów, który mimo uruchomienia kamieniołomu, ustawienia retort do wypalania węgla drzewnego i poprowadzenia po obu stronach doliny utwardzonych dróg mógł jeszcze od biedy uchodzić jako fragment stosunkowo mało dotknięty ludzkim barbarzyństwem. Na kilkunastu hektarach zrekwetywowanej i odrzuczonej ziemi założono poletka ogryzowe dla zwierzyny. W ich sąsiedztwie ustawiono ambony dla myśliwych. Jelenie pozbawione żeru na łąkach i polach, które leżą odłogiem, musiały schodzić z polonin coraz niżej, tym bardziej że jedyny nie zamarzający zimą w Bieszczadach ciek wodny, to San. Na Tworylnem czekała je masakra. Wypuszczone na wolność żubry, które miały uatrakcyjnić pokot łowów jeśli w dalszym ciągu nikt się nimi nie zajmie, szkody w lasach wyrządzą ogromne. Państwowa Rada Ochrony Przyrody już dawno nie kontroluje ich poczynania. W Sanoku za jedno 1000 USD można kupić od ręki czaszkę tego zwierza. Na skórę trzeba trochę poczekać. Aż dowiozą. Za PRL w bieszczadzkie błoto wyrzucono z państwowego budżetu kwotę znacznie przekraczającą nakłady inwestycyjne wyłożone na budowę Portu Północnego. Następnie przyszła

moda na fermy i „kolorowy zawrót głowy”. W tych pierwszych zamierzano hodować tzw. opasy. Na Połoninie Wetlińskiej, na Krywem, w Łupkowie i w wielu innych miejscach bieszczadu wzniesiono tandetne, rozsypujące się już po paru sezonach gigantyczne obory typu „hokejki”. Zimą brak paszy dla dziesiątków tysięcy sztuk czworonogów powodował konieczność dowożenia karmy po oblodzonych górskich drogach z odległości setek kilometrów. Kilogram wyprodukowanego tu żywca kosztował w efekcie parokrotnie więcej niż pochodzącego z identycznych ferm na nizinach. Obficie dotowana produkcja smrodu i zwierzęcego nieszczęścia trwała prawie do początków solidarnościowych rządów. Budżetowych pieniędzy nie starczyło już na wywózkę nasyconych azbestem pozostałego po „hokejkach” gruzu. Barwnym fajerwerkiem idiotyzmu zabłysnął pomysł pewnego stołecznego dziennikarza. Bieszczady należało uczynić centrum sportów zimowych!!!. To, że zalesione zbocza nie nadają się do długich narciarskich zjazdów, a pokrywa śnieżna leży tu wyjątkowo krótko, pomysłodawcy nie przerażało. Przy „gospodarce” leśnej i łowieckiej cudzysłów należałoby postawić co najmniej podwójny. Nie zwracając uwagi na opinie naukowców o konieczności zachowania naturalnej sukcesji gatunków, zawzięcie tępiono olchę szarą. Zaprzęgając do tego zajęcia nawet więźniów. Karczowano też całe połacie wspaniałej pierwotnej puszczy, aby posadzić jodłę — odmianę, która i tak nie miała szans w tych warunkach na prawidłowy wzrost. Gdy cała Europa zaczęła wilka uważać za zwierzę chronione, u nas ustanowiono wysokie nagrody za jego tępienie. W kolejnych sezonach turystycznych po Bieszczadzkim Luna-Parku Narodowym zaprzęgi huculskich koników wożą pomalowane na kolorowo drabiniaste wozy z turystami. Ich stajnie na Wołosatym ulokowane w dawnych garażach Iglopolu pokrywają hektary blachy falistej na której coraz szerzej rozpełzają się liszaje korozji. W dobie globalizacji, komercjalizacji i liberalizacji. największe zagrożenie dla dogorywającego bieszczadu przyniosła jednak... ośmiornica. Mozolnie budowany system najdziwniejszych układów i rodzinnych powiązań, w którym celują potomkowie przesiedleńców z rejonu Hrubieszów-Tomaszów. Oni tak naprawdę nadal tu rządzą. Zbiegiem okoliczności w większości są synami byłych funkcjonariuszy UB, zaangażowanych swego czasu w obronę „władzy ludowej”. Dla nich każdy mieszkaniec tych gór przed Akcją „Wisła” był bandytą z UPA, a bieszczadzki las pozostał nienawistnym wrogiem. Klimat rodzinnego domu i wyniesiony z niego system wartości zdecydował o mentalności obecnych decydentów o losach krainy na której terenie znajdują się dziś Wschodnio-Karpacki Rezerwat Biosfery Ekologia i ochrona naturalnego środowiska nigdy ich nie interesowały i nie interesują. Chyba że przy okazji można załapać dotację czy etat dla szwagra lub pociotka. Proces suchej destylacji drewna polega na jego termicznym rozkładzie bez dostępu powietrza. Do temperatury 160 °C z drewna wydziela się jedynie para wodna, a jeśli procesowi poddajemy drewno z drzew iglastych - również olejki eteryczne. W temperaturze od 170 do 250 °C drewno ciemnieje i pojawiają się niewielkie ilości gazów zawierających zabójczy tlenek węgla i dwutlenek węgla, a powyżej tej temperatury również metan, etylen, butylen, acetylen i pary ciekłych węglowodorów. Dalszy rozkład drewna zachodzi już na drodze reakcji egzotermicznej bez konieczności ogrzewania, przy czym w przedziale temperatur 350-440 °C wydziela się benzen, toluen, fenol (kwas karbolowy), parafina i pozostałe składniki smoły drzewnej. Do niedawna celem uzyskania węgla drzewnego i smoły wypalano drewno w obsypanych ziemią kopcach zwanych mielerzami. To know-how znano na ziemiach Lechitów od czasów Mieszka I. Lokowano je z dala od ludzkich siedzib, w głębi przepastnych puszczy. Wiecznie umorusanych, smolarzy podobnych do diabłów z ludowych baśni zajmujących się tym rzemiosłem obawiano się i zarazem nimi gardzono. Ze sprzedaży spławianego Wisłą do Gdańska potażu uzyskiwano znaczne dochody. Miał je na uwadze biskup Ignacy Krasicki pisząc:

Gdyby nie było potażu/ Nie byłoby ekwipażu/

Skarb to nie dosyć wielbiony/ Z popiołów mamy galony.

Rozpad Jugosławii, głównego do niedawna dostawcy węgla drzewnego, dał szansę naszym producentom. Ponieważ można na tym zarobić naprawdę duże pieniądze, sprawą zajęły się doskonale zorganizowane, grupy towarzyskie. Zajmujących się węglowo-drewnym biznesem los bieszczadu oczywiście nie interesuje. Większości tych, co przez dłuższy czas pracowali „na wypale” jeszcze dekadę temu, już od dawna nie ma wśród żywych. Narażeni byli na szkodliwe oddziaływania smoły na skórę, powodujące nigdy nie gojące się oparzenia rąk i najgroźniejsze odmiany raka. Napuchnięte twarze i szyje ich pokrywał chorobliwy rumień. Produkowany ze smoły potażowej olej kreozotowy zawierał fenole trwale uszkadzające centralny układ nerwowy, powodujące uporczywe bóle głowy, duszności, sinice, żółtaczkę. Pary oleju terpentynowego wywołują zapalenie spojówek, podrażnienie błon śluzowych ust, stany podniecenia, senności, uszkodzenia nerek, zapalenia pęcherza. Ocet drzewny, jako jeden z produktów suchej destylacji, zawiera alkohol metylowy. Zatrudnieni przy retortach są narażeni na wdychanie jego oparów. Powoduje to zaburzenia psychiczne, porażenie nerwów wzrokowych i słuchowych. Lokowanie chociażby tylko na jeden sezon

chałupniczych fabryk chemicznych nie posiadających oczyszczalni ścieków, zakażających ziemię, atmosferę i ludzi jadowitymi truciznami w obszarach cennych przyrodniczo jest ewidentnym przestępstwem. Takim samym, jakim byłoby ustawienie retort w Parku Wilanowskim. Wielogłowa, żerująca na wypałach ośmiornica dawno już oplotła lokalny wymiar sprawiedliwości, urzędy skarbowe, referaty zatrudnienia Jej ramiona sięgają daleko. Naiwni, usiłujący z nią walczyć, napotykać tylko drwiące uśmieszki różnego szczebla bardzo ważnych biuralistów. A mogło być tak wspaniale. Europejsko. Ekologicznie. Leszek z Zatwarnicy wypałem zajmował się parę lat. Za długo. Nie ma go już wśród żywych.

W stanie wojennym wróciłem do PRL z Kanady aby poprowadzić studencką bazę w Berehach Górnych. Razem z Bazylem wznieśliśmy przed nią z drewnianych żerdzi bramę. Odtwarzała anagram imienia Władimira i Olgi. Tryzub. Na tle Połoniny Caryńskiej rysował się pięknie. Poszedł jednak donos do bezpieki. Jej przedstawiciele prawie natychmiast zjawili się POLONEZEM. Bazyl, potomek starożytnego rabinackiego rodu sporo się napocił aby im wytłumaczyć, że nie zamierzaliśmy gloryfikować UPA. Prawie mu się udało. Niestety SB-ków spisujących sążnisty raport pod wieczór od strony bazowego ogniska dobiegł śpiew

Hej ty ojczyźnie, Ukraina śpi w najlepsze.

Śpią sokoły na kurhanie i stanęła woda w Dnieprze

Bazyl zdrętwiał. Przyszła chluba krajowego dziennikarstwa już liczył lata odsiadki. Raport nie został dokończony. Esbek podszedł do ogniska. Dostał kubek herbaty i ...podjął melodię. Miał nawet dobry głos. Wśród śpiewających nikt nie był Ukraińcem. Natomiast najbliżsi paru siedzących przy ogniu osób stracili życie z rąk tych, którzy nosili przypięty na czapkach Tryzub. Większość precudnej urody drewnianych nieickich cerkiewek zniszczyły niestety jak ich wówczas nazywano „nieznani sprawcy”. W Birczy i w Lutowiskach działo się to na moich oczach jeszcze w połowie lat siedemdziesiątych. Nie tylko w Zawadce Morochońskiej polscy żołnierze zaganiali do cerkwi cywilnych mieszkańców aby spalić ich żywcem. Miał to być odwet za wyczyny UPA. Nie oszczędzono nawet rodzin dwóch byłych żołnierzy Legionów Piłsudskiego. Trudne i skomplikowane są dzieje narodów które zamieszkiwały I Rzeczypospolitą. Że potoczyły się takim a nie innym torem winne są jej elity, oraz kościół katolicki, obu obrządków. Wymowa cyfr jest bezwzględna. Na cmentarzu pod Monte Cassino w co najmniej 9% grobów leżą ci, których dzisiaj nazwano by Ukraińcami. Taki sam mniej więcej procent mieszkańców II Rzeczypospolitej przyznawał się do tej narodowości. Jednocześnie aż 78% ziemi ornej i to tej najlepszej na terenie Wołynia i Podola, krain o przeważającej gospodarce rolnej znajdowało się, zgodnie z danymi statystycznymi z 1938 roku, w polskich rękach. To była bomba z opóźnionym zapłonem. Wcześniej czy później musiała wybuchnąć. W rzezi galicyjskiej 1846 roku etnicznie polscy chłopci rzymsko-katolickiego wyznania rżnęli polskich panów drewnianymi piłami. Podobnie się działo w czasie rewolucji rosyjskiej, francuskiej, meksykańskiej. Jest zwykłą głupotą albo nikczemną perfidią za którą stoją moskiewscy inspiratorzy żądać obecnie, aby za rzezie b. obywateli II RP na Wołyniu, dokonywane również przez b. obywateli II RP przepraszał naród ukraiński. Mające geopolityczny wymiar plany budowy magistrali przesyłowej kaspijskiej ropy naftowej ODESSA- BRODY- GDAŃSK integrującej gospodarczo nas z Ukrainą, powinny swego czasu otrzymać na polskiej ziemi wszelką możliwą pomoc. Tak się niestety nie stało. Mieliśmy za to istny festiwal wspomnień o krwawych wydarzeniach na Wołyniu i bratobójczych rzeziach. Przędował w tym ksiądz Isakiewicz-Zalewski. Do czasu gdy ktoś ujawnił nazwisko jego niezwykle dobrotliwego dla katolickiego kościoła rosyjskiego przyjaciela. Interesującym się mechanizmami, którymi posługują geopolityczni manipulatorzy muszę przypomnieć pewne wydarzenie.

Z profesorem Wiktorem Poliszczukiem poznałem się w Montrealu. Parę lat temu Jego odczyt w Warszawie wykorzystany został niestety jako element prowokacji skierowanej przeciwko polsko-ukraińskiemu pojednaniu. Miał miejsce w dniu w którym prezydent Wiktor Juszczenko składał wizytę prezydentowi Lechowi Kaczyńskiemu. Zastanawiająca zbieżność terminów. Kierownictwo organizacji której nazwy nie będę wymieniał ponieważ należy do niej zapewne wielu przyzwoitych ludzi wykorzystywała odczyt profesora do promocji makabrycznego projektu poświęconego ofiarom UPA. Mariana Koniecznego wybitnego rzeźbiarza który popełnił najzwyklejszą nikczemność jaką było żerowanie na ludzkich uczuciach niestety nic nie mogło usprawiedliwić. Wizerunek zmasakrowanych dziecięcych ciał zawsze będzie budził zgrozę. Uczucie nienawiści, głębokiego żalu i wstrętu do oprawców, do ziemi która ich nosiła i języka którym się posługiwali. Tu nie ma i nie może być wyjątków. Ludobójstwo, którego ofiarami padło wiele tysięcy rodzin polskich osadników na Wołyniu jest faktem. Do dzisiaj nie osądzonym i w bardzo wielu przypadkach niewyjaśnionym. W aż tak wielu, że nadal otwartym pozostaje pytanie kto był tak naprawdę jego sprawcą. Tu nie chodzi

o pijanego parobka, któremu kazano mordować najbliższych sąsiadów. Nie dając nawet do ręki broni palnej, bo by jej prawdopodobnie nie umiał użyć. Za narzędzie mordu służyło to co miał pod ręką. Drewniany kół, kosa, siekiera. Ofiary pętał drutem kolczastym. Jak mogło do tego dojść? Kto ponosi winę? Próbujemy znaleźć odpowiedź na tak postawione pytanie. Odpowiedzi częściowo dostarcza przedwojenny rocznik statystyczny. W 1937 r. na Wołyniu i Podolu, terenach o zdecydowanej przewadze gospodarki rolnej, blisko 80% ziemi uprawnej i to tej najlepszej znajdowało się w polskich rękach, a w nielicznych miastach przeważał żywiol żydowski. To była prawdziwa bomba z opóźnionym zapłonem. W pogranicznych województwach II RP po obu stronach wg maksymalnych szacunków zginęło 208.000 ofiar. Czyli 0,2% populacji obu tak bliskich sobie i tak sobie potrzebnych narodów. Żal ofiar. Oczywiście. Nikt nie chce być pacholkiem we własnym kraju i to na ziemi gdzie od wielu pokoleń spoczywają prochy jego przodków. W kraju, o który oni walczyli i ginęli. Na wojennych cmentarzach pod Monte Cassino, w Narwiku i Lenino 10% poległych nosiło ukraińsko brzmiące nazwiska. Nie potrafilismy, nie umieliśmy i nie chcieliśmy razem z najbliższym nam etnicznie, kulturowo i cywilizacyjnie narodem Europy żyć we wspólnym państwie. Słowacy, Chorwaci, Bośniacy, Baskowie, Flamandowie, Szkoci byli w podobnej sytuacji. Rozstania bywają bolesne dla obu stron nie tylko w rozwodach małżeństw legitymujących się długim pożyciem.. I obie strony ponoszą za to winę. W II Rzeczypospolitej mieliśmy fatalną politykę wobec mniejszości narodowych. Nie bez winy jest też kościół katolicki obu obrządków: rzymskiego i greckiego. Gdzież byli ich kapłani gdy zaczynało się dziać to co się wydarzyło? Biedni wieśniacy mordowali się nawzajem również w czasie rewolucji francuskiej, meksykańskiej, rosyjskiej. Jest najzwyczajszą głupotą albo nikczemną perfidią, za którą stoją obcy inspiratorzy, domagać się aby za zbrodnie popełnione na Wołyniu przez obywateli II Rzeczypospolitej na obywatelach II Rzeczypospolitej odpowiadał naród ukraiński. Za rzezie dokonywane rękami chrześcijan na chrześcijanach, powinni przecież odpowiadać również hierarchowie obu katolickich kościołów. Tych czynów dopuścili się przecież ich owieczki, które wychowywali i o których dusz zbawienie modlili się do tego samego Boga. Projekt wystawienia w centralnym miejscu Warszawy na Placu Grzybowskim, w pobliżu synagogi i Teatru Żydowskiego pomnika ofiar Ukraińskiej Powstańczej Armii był jawną prowokacją. Przywołującą ciągle żywe upiory niedawnej historii. W dziejach powszechnych ofiarami wojen zawsze padały głównie kobiety i dzieci. Wynika to z rachunku prawdopodobieństwa. Tak samo jest w Czeczenii, Syrii, Iraku, Afganistanie.

Mój najstarszy syn i imiennik urodził się w Przemyślu. Członkowie bliższej i dalszej rodziny jego matki w czasie wojny służyli w A.K., NZS, UPA, ORMO. Ci co przeżyli zdawali sobie sprawę, że ktoś celowo rozgrywał i podsycił polsko-ukraiński antagonizm. Odnotowano liczne przypadki jak jednego dnia bandy przebrane w polskie mundury i noszące ryngrafy Matki Boskiej na piersi puszczały z ogniem ukraińskie wsie a następnego dnia te same oprychy przypinały sobie na czapki anagramy imienia Władimira i Olgi -Tryzub i wyrzywały w pień polskie. Ich komendanci zwykle bezbłędnie posługiwali się tylko językiem rosyjskim. Temat sowieckich inspiracji dla ideologicznej działalności Doncowa i jego zwolenników do dziś nie jest należycie opracowany. To samo dotyczy ostatecznego wyjaśnienia przyczyn zaistnienia Akcji Wisła. Jest oczywistym, że decyzja o jej przeprowadzeniu zapadła w Moskwie. Istnieją poszlaki, że miała być generalną próbą przed przesiedleniem mieszkańców województwa kieleckiego dość zdecydowanie przeciwstawiających się komunistycznym porządkom w stepy Kazachstanu. W rejon przyszłych poligonów jądrowych.. Radzieccy naukowcy chcieli się przekonać jak będą reagowały na promieniowanie organizmy „prawdziwych” Europejczyków. Akcja Wisła nie była „ludobójstwem” co dziś gwałtownie nagłaśniają niektórzy. Bojków i Łemków po przewiezieniu na tzw. Ziemię Odzyskane osiedlano w gospodarstwach należących do zupełnie innej cywilizacji. Za dokument niech posłuży chociażby zdjęcie z końca lat 30-tych kurnej chałupy z Wołosatego zamieszczone w książce A.F. Ossendowskiego KARPATY I PODKARPACIE Jeśli paranoiczny pomysł makabrycznego pomnika zostałby zrealizowany, to nie można wykluczyć, że we Lwowie naprzeciw Cmentarza Orłąt stanie pomnik poświęcony ofiarom bestialstwa żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego. I ruszy spirala wydarzeń. Kontredans, jaki trwał wokół rurociągu Odessa- Brody dał bardzo wiele do myślenia. Aktywiści różnego rodzaju organizacji od dawna starają się, aby Polacy nie zacieśniali więzów z Ukraińcami. Gospodarczych w szczególności. Lepiej jeśli nadal zachowają w historycznej pamięci „pale pojednania”. Oba te narody liczą łącznie z paropokoleniową już emigracją w Kanadzie, USA Brazylii i Australii przeszło 120 milionów. Etnicznych Rosjan jest niewiele więcej. Napierają na nich z południa muzułmańskie narody Azji Środkowej, a ze wschodu odkrywający swoje korzenie mieszkańcy Syberii, której aż 1/3 terytorium carska Rosja zagrabiła Chinom stosunkowo niedawno.

Spróbujemy sięgnąć do źródeł historycznych, aby dowiedzieć się jaki naprawdę % ofiar pochłonęły wojny domowe w niektórych krajach europejskich tylko na przestrzeni ostatnich paru

wieków. O krwawej rosyjskiej jatce nie wspominając. W tym kontekście nasze stosunki z Ukraińcami można uznać za jeśli nie idealne to przynajmniej w miarę znośne. Najwyższy czas, aby decyzjami rządów i parlamentów obu krajów których mieszkańcy mają przecież w sobie w sobie dość znaczny przekaz genetyczny ludów Wielkiego Stepu przyjąć decyzje o usypaniu wspólnych kurhanów dla poległych z obu stron. Postawić na nich krzyże i odprawić stosowne religijne obrządki. I raz na zawsze skończyć z bolesnym rozdrapywaniem pamięci. Istnienie wolnej, suwerennej politycznie i energetycznie Ukrainy jest dużo lepszym gwarantem, że nie odrodzi się niedźwiedzie monstrum na wschodzie niż nasze członkostwo w NATO czy UE. Doradcy prezydenta Putina zdają sobie z tego doskonale sprawę. Dlatego zdecydowano się na rozegranie starej jak świat cynicznej gry. Nie dajmy się sprowokować. Po mojej interwencji redakcja RZECZPOSPOLITEJ (PLUS MINUS z 19 maja 2007). zamieściła krótką informację, że makabryczne zdjęcie dziecięcych ofiar jest ilustracją do artykułu „Psychoza szałowo-posępnicza w kazuistyce sądowo-psychiatrycznej” i przedstawia cygańskie dzieci zamordowane przez chorą psychicznie matkę w jednej z mazowieckich wsi. Artykuł opublikowano w 1928. UPA powstała 14 lat później. A. Mickiewicz w Szkicach z literatury słowiańskiej napisał: „W XIX w. nieszczęścia wygnania zbliżyły naród Polski z innymi szczepami Słowian. Nie byłoby inaczej sposobu zbliżyć Polaków do Rosjan. Naród niepodległy, wolny, dumny ze swoich swobód, cóż mógł mieć wspólnego z narodem niewolniczym, uciśnionym, nawykłym do jarzma od wieków!” Warto zdać sobie sprawę, że potomkowie ukraińskich Kozaków z całą pewnością nie chcą być i nigdy się nie zgodzą na bycie narodem niewolniczym. Polską racją stanu było swego czasu dotrzymanie warunków Umowy Hadziackiej zawartej po wygranej trzydniowej bitwie pod Beresteczkiem w 1651. Tak się niestety nie stało.

Kafe CISAR znajduje się we Lwowie na ul. Bandery 67. Trzy niezbyt duże salki. Papierosowy dym i parę bardzo młodych kelnerek w jeansach z tłustymi pępkami na wierzchu. No i łomot.. Nazwijmy że muzyki. Bardzo głośnej. Prawie, że wypłoszyła by mnie z lokalu żeby nie wisząca na ścianie reprodukcja mapy Religionskarte von Osrerreich z początku ubiegłego wieku. Zaznajomienie się z jej treścią powinna być obowiązkowe dla tych wszystkich którzy się chcą wypowiadać na temat stosunków polsko-ukraińsko-żydowskich w Galicji Wschodniej. Czy się to nam podoba czy nie to w XIX wieku nie były to już „nasze”, „polskie” ziemie. Byliśmy na nich mniejszością zarówno na wsiach jak i w miasteczkach. Mniejszością i to niezbyt kochaną z uwagi na historyczną przeszłość i stosunek polskiej szlachty i kościoła rzymsko-katolickiego do autochtonów. Warto też pamiętać, że Lwów ma stare ukraińskie a może raczej ruskie korzenie. Ukraińcami i to stosunkowo dość późno bo w początkach XIX wieku zaczęto nazywać mieszkańców 3 ukraińskich województw I Rzeczypospolitej: czernihowskiego, braclawskiego i kijowskiego. W 1250 Daniel Halicki z dynastii Rurykowiczów założył nad rzeką Pełtew miasto nazywając go imieniem swego syna. Przez wieki żyli w nim obok siebie przedstawiciele wielu narodów. Nie zawsze zgodnie. Jak wiemy obaj nasi okupanci do art. gubernandum zaliczali ludobójstwo. Jadąc dziś ulicą Bandery na zachód mijają się pomnik przedstawiający idącego przed siebie mężczyznę w długim płaszczu. Dniem i nocą pilnują go milicjanci. U stóp pomnika płoną świece i leżą wieńce z świeżych kwiatów. Dla większości mieszkańców tego miasta Stefan Bandera jest i pozostanie bohaterem, patriotą, wzorem osobowym. Musimy się z tym pogodzić. Odwiedzający nasz kraj przybysze z zachodniej granicy nie dziwią się, że składamy kwiaty pod pomnikiem Piłsudskiego. W miejskim muzeum Drohobycza zajmującym całe pierwsze piętro zachowującej ślady dawnej urody secesyjnej kamienicy znajduje się ekspozycja poświęcona dziejom i walce o niepodległość Ukraińskiej Powstańczej Armii. Są też zdjęcia rodziny greko-katolickiego księdza z której pochodził Stefan Bandera. Armia Czerwona likwidowała tych co chcieli, aby zaistniała Wolna i Samostijna. Tylko z terenów Ukrainy Zachodniej wywieziono do lodowych łągów na pewną śmierć przeszło półtora miliona ludzi. Utrzymany w cynamonowych odcieniach obraz galicyjskiego miasteczka zastygł dzięki prozie Brunona Schulza. W historii grodu nad Tyśmienicą z przewodnikiem po zakamarkach jego przeszłości, byłyby strzępki rzeczywistości otaczającej autora Sanatorium pod klepsydrą: Kostropaty chodnik prowadzącej w dół do rynku uliczki ułożony z popękanych płyt w pewnym miejscu przerywa pas zabrukowany nierówną granitową kostką Widać w nim nieco zabłocone gniazda gdzie w betonowej zaprawie tkwiły cztery śruby mocujące spiżową tablicę. Nieskutecznie. Rozbito ją i sprzedano na złom.

Mieszkańcy okolicznych domów i tak wiedzą, że w tym miejscu jakiś gestapowiec zastrzelił Schulza. Nie chcą jednak aby Żydzi znów zamieszkali wśród nich. Polacy też nie. Chcą być u siebie, Historia magistra vitae est. Ukraińcy są nam najbliższym nam etnicznie, kulturowo i mentalnie narodem Europy. Za rzezie dokonywane rękami chrześcijan na chrześcijanach powinni przede wszystkim odpowiadać hierarchowie obu obrządków religijnych: katolickiego i greko-katolickiego. Odpowiadać przed Bogiem i Historią. Zdaje sobie z tego sprawę największy z naszych rodaków.

Warto Go posłuchać.

Karpacka dżungla zadziwiła i zachwyciła swego czasu sir Johna Hunta, zdobywcę Mont Everestu, oraz pewnego księdza o znanej dziś na całym świecie twarzy, z którym kiedyś razem suszyliśmy wibramy przy płonącym ognisku pod Hnatowym Berdem. A kozackie dumki przy ogniskach śpiewane będą zawsze. Na przełomie lat 90 minionego wieku korespondowałem z księciem Jerzym Gedroyciem (1906-2000) herbu Hipocentaurus szefem INSTITUT LITTERAIRE w Paryżu. Mam nadzieję, że daruje opublikowanie fragmentu jednego z otrzymanych od niego listów: „Całkowicie się z Panem zgadzam, że powinniśmy zrobić wszystko by pomóc Ukrainie w utrzymaniu niepodległości, bo to jest w naszym interesie, ale przede wszystkim powinniśmy zwalczać nienawistny stosunek społeczeństwa polskiego do Ukrainy, rozliczyć się z operacji "Wisła" i zmienić stosunek do mniejszości ukraińskiej w Polsce." (Paryż 23 grudnia 1992)

Witold Stanisław Michałowski

Pisarz, podróżnik, niezależny publicysta, inżynier pracujący przez wiele lat w Kanadzie przy budowie rurociągów, b. doradca Sejmowej Komisji Gospodarki, b. Pełnomocnik Ministra Ochrony Środowiska ZNiL ds. Międzynarodowego Rezerwatu Biosfery Karpat Wschodnich; p.o. Prezes Polskiego Stowarzyszenia Budowniczych Rurociągów; członek Polskiego Komitetu FSNT NOT ds. Gospodarki Energetycznej; Redaktor Naczelny Kwartalnika "Rurociągi". Globtrotter wyróżniony (wraz z P. Malczewskim) w "Kolosach 2000" za dotarcie do kraju Urianchajskiego w środkowej Azji i powtórzenie trasy wyprawy Ossendowskiego. Warto też odnotować, że W.S.M. w roku 1959 na Politechnice Warszawskiej założył Koło Stowarzyszenia Ateistów i Wolnomyślicieli. [Więcej informacji o autorze](#)



[Pokaż inne teksty autora](#)

(Publikacja: 13-03-2016)

[Oryginał.](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,9985) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,9985>)

Contents Copyright © 2000-2015 Mariusz Agnosiewicz
Programming Copyright © 2001-2015 Michał Przech

Właścicielem portalu Racjonalista.pl jest Fundacja Wolnej Myśli.
Autorem portalu jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tego portalu i jakiegokolwiek jego części.

Wszystkie elementy tego portalu, wliczając w to strukturę katalogów, skrypty oraz inne programy komputerowe są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tego portalu oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tego portalu i nie korzystać z jego zasobów.

Informacje zawarte na tym portalu przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania

wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów portalu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na portalu. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki prezentuje.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych portalu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do redakcja@racjonalista.pl